ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 23 października 1909 r. № 43.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

30

Powieść historyczna.

Ale cóż, sześćdziesiąt strzelb nie mogło nastarczyć jegrom, którzy nas prażyli ogniem. Borysewicz nakazał odwrót. Jegry za nami. Wzięliśmy się na Korciany, spaliliśmy most na Mimii i cofamy się. Chamy nic, idą w ordynku, rannych dźwigają, i dobrze. Ubili nam luda, ale i myśmy im ubili, więc kwita, niema żałości. Za Korcianami, myślimy, sfolgują pościgu. Gdzie! Wytchnąć nie zdołaliśmy— a oni już z za Mimii, dwakroć większą chmarą nacierają i od boków się skradają. Dostępu zaś na ostre niema, bo co się nasi z kosami zerwą, to ogień w pół drogi ich skrwawi. Rada w radę... cofamy się ku pruskiej granicy, co jest tuż za naszemi plecami. Za granicą pruską nam nic, bo pruska mość obojętność deklarował. Przycupniemy sobie w bezpieczeństwie, zmocnimy i wpadniemy od Połągi. Nie zdała mi się pruska gościna, ale Borysewicz, co był i tę ostateczność przewidział, odebrał zapewnienie od komendanta z Kłajpedy. Idziemy tedy za granicę i hukamy jegrom na pożegnanie. Jegry utknęli w miejscu. Nasza wygrana. Naraz, z za lasu cały sztab pruski wyjeżdża. Szwargoczą. witają nas, znów szwargoczą, z Borysewiczem paktują. Radzą nam tu nocować... Co tu mówić! Trzech godzin nie wyszło, a już, niby z przyjacielstwa, aby jegry granicy nie naruszyli, otoczyli nas, rozbroili, ograbili z dobytku i popędzili do Kłajpedy. Tu zakuli w łańcuszki i zawieźli do Lipawy na prezent dla kurlandzkiego gubernatora... W Lipawie mnie, Giedryma i Borysewicza użalił się strażnik na odwachu. Wziął sygnet od Borysewicza i umknąć nam pomógł. A że pościg za nami szedł, więc rozpędziło nas. Ja na Nitawę aż się wlokłem; co tamci dwaj nie wiem... I tak przepadło wszystko. W Lipawie mówili, że do Telsz zjechał Manteufel na śledztwo, że siła narodu ucierpiała i nadarmo! Ha, gdyby był Dowbor, nie czekając nas, zaczął w Telszach, nie poradziliby! A Dowbor miał niby i kniazia Giedrojcia, i Syrewicza i samego imć pana Jacewicza. Cóż więcej powiadać! Niedola jedna. Po żebranem musiałem, lasami musiałem. Na drogach wojska bez miary, lęk coraz większy... Myślałem, że gdzie natrafię na zbrojny oddział naszych, myślałem, że gdzie kto przykładem chamstwa telszewskiego się zawstydził... ani słychu...

Północ umilkł i, jakby zmęczony blaskami, idącemi z płonących na kominku szczap, przymrużył swe posiniałe, obrzękłe powieki.

— Więc waszeć byłeś w Lipawie?—zagadnął raptownie Grużewski, przerywając chwilę głuszy.

Północ rozwarł szeroko oczy.

— A jakże! Ośm dni na hauptwachcie, czy jak tam... a potem drugi tydzień zeszło mi, zanim z mierzei lipawskiej się wydostałem na szczerą ziemię. Majsterek się znalazł, człek osiedziały... ten mnie ratował, inaczej nie poradziłbym. Szukali nas okrutnie. Lecz majsterek czuj duch wiedział, jak trawa rośnie.

— Nie słyszałeś waszeć o panu Staniewiczu?

Nieruchoma, stężała w bolesnem zamyśleniu twarzyczka hrabianki drgnęła zniecierpliwieniem.

— O panu Ezechielu z Pren? Marszałku rosieńskim? Wiem, wiem, dobrodzieju, powiadali. Do Lipawy zjechał. Kontrabandy czekał... i cóż?.. uwięzili.

— Marszałka Staniewicza!

— Mieli swoje prawo. Nieszczęście. Pan marszałek cały powiat czynił.

— Lecz waszeć się chyba mylisz!

— Powiadali i tacy, którzy nie takiej wyprawy marszałkowi życzyli...

Juliusz podszedł do hrabianki...

— Pani daruje, ani chwili dłużej nie mogę pozostać, ruszam natychmiast.

— A... lecz skoro masz waćpan pewność, że Staniewicza niema...

— Więc tem bardziej muszę pośpieszać!

— Słusznie—przyznała Emilia, nie zauważywszy nawet mocy, któ-

rą biła w tej chwili twarz Grużewskiego. — Strawiński i o tem wiedzieć powinien. Da mu to jeden argument więcej. Więc do widzenia w Antuzowie...

— Albo...

— Albo niech waćpan przyśle zaufanego po wiadomości.

Grużewski poniósł rączkę hrabianki do ust, poczem jakby zawahał się, jakby jeszcze coś rzec chciał, lecz, napotkawszy rozszerzone zdziwieniem źrenice Emilii, wyprężył się dumnie, skłonił i wyszedł z komnaty.

IX.

Wyjazd do Antuzowa podkomorzyny Zybergowej i jej wychowanicy prawdziwie pod dobrą począł się wróżbą. Słoneczny a mroźny dzień rozruszał staruszkę, hrabiankę ożywił, a i koniom snadź ulżył w dźwiganiu landary, bo te, jak ruszyły z kopyta, tak z tym samym impetem pomknęły lodową powłoką Dźwiny i z tym samym zamachem zawinęły płozami przed pałacem szlosberskim. A że popas, odprawiony w siedzibie pana grafa Michała, i podróżującym damom, i służbie, i koniom co najlepiej wypadł, tedy reszta drogi do Antuzowa w większej jeszcze rzeźkości zeszła i, choć dłuższa, krótszą się zdała.

Dopieroż w Antuzowie. Państwo Gasparowie nacieszyć się nie mogli gościom. A co pan Gaspar, który, jak zwykle przed wiosną, bardziej kwękał a przeraźliwiej astmą sapał, z ukontentowania niemal ozdrowiał. Na dobitek, pod wieczór, gdy gawęda pierwszego rozwichrzenia zbywać się zaczęła, spadli niespodziewanie Michałostwo szejbakpolscy aż z pod Lidy, najrodzeńsi Gasparów. Z tego zamęt nowy, nowa radość, a już dla pani podkomorzyny cała fala pytań, wspomnień, nowin i nowinek. Wprawdzie i do niesfornego zgiełku, w którym trwała rozmowa, zakradało się słowo chmurne, ważkie, przesłanka trwożliwa do jutra, do przyszłości, do wojny,—lecz ginęła wprędce, dzięki roześmianym głosikom dwóch dziewcząt ek państwa Michałów.

W tym rozgwarze nawet ostatek chmurnych myśli, z któremi hrabianka Emilia opuszczała Liksnę, a któremi żegnała mogiłkę Muraszki—znikł, uleciał.

Cezary miał stokroć słuszność, że nakłonił ją do wyjazdu z Liksny. Nadewszystko, pani podkomorzynie sporzej tu będzie między swoimi przetrwać nadchodzącą burzę. A dalej, w Antuzowie łatwiej o wiadomości, łatwiej, bo i lud sam jednolitszy, i niema Dźwiny, grożącej ruszeniem lodów, i wokół, precz, włości rodowe Platerów, familiantów, czy ich przyjaciół, czy też klientów,—więc na wsze strony pomoc, oparcie, swojacy. W dodatku, krom kilku milicyantów w Jezioroszach a garstki urzędników, nigdzie załogi wojskowej, nigdzie silniejszego posterunku, zdolnego udaremnić wybuch.

Niepokoiło z początku hrabiankę, czyli ochotnicy owsiejowscy zdołają bez obudzenia czujności Dyneburga przedostać się do lasów subockich. Ale i ta udręka już na wtóry dzień po przyjeździe do Antuzowa rozwiała się. Stary Prószyński święcie dotrzymał przyrzeczenia i, skorzystawszy z ciemnej a mglistej nocy, ochotników partyami do puszczy między Oknistą a Suboczem wyprowadził.

Emilia wnet z ochotnikami ustanowiła komunikacyę przez Dusiaty, w których młody pan Władysław, w zastępstwie Cezarego, rządy sprawował, a dusiackich strzelców gromadził. Główną zaś pośredniczką tej komunikacyi była Anetka Prószyńska. Ona samotrzeć z jednym pacholikiem docierała do puszczy, do Buchowicza leśniczego, który, jako dawny sierżant strzelców celnych litewskich Kossakowskiego, komendę nad owsiejowskimi sprawował.

Pierwsze cztery dni piorunem zeszły hrabiance. Miała tuż Marynię Mohlównę w poblizkich Imbrodach, miała narady z Władysławem, miała posyłki do Kazimierza szlosberskiego o nagotowanie, na lewym brzegu Dźwiny dostatecznej ilości strug i łodzi, któreby, w razie ruszenia lodów, ułatwiły przeprawę na poddyneburskie wybrzeże, miała co moment sprawę pilną do załatwienia.

Mieszkańcy antuzowskiego pałacu równocześnie, jakby nie postrzegali gorączkowej czynności Emilii, jakby nie zauważyli nawet, że ku bocznym schodom, wiodącym do pokoiku, zajmowanego przez hrabiankę, suną nieznane postacie, że tam, w jasnych ścianach panieńskiej komnatki, do późnej nocy szepczą stłumione głosy. Roztargnienie jakieś, czy zamyślenie smutne, ogarnęło bo raptem cały pałac antuzowski. Z rozgwaru niedawnego i śladu nie zostało. Pan Gaspar sapał astmą, stękał, podkomorzyna ledwie się czasem ozwała, milczeli państwo Michałowie, pani Gasparowa probowała niekiedy zmódz ciszę, lecz bezskutecznie, bo nawet dziewczątka kryły się po kątach z zabawami i figlami.

Jeszcze gdy Emilia była obecną, ten i ów ozwał się, zagadał, skleił. Ale z chwilą, gdy hrabianka, uprzedzona przez hajduka, śpieszyła na przyjęcie posyłki lub, gdy, zajęta w swej komnatce, nie pokazywała się na pokojach, wówczas westchnienie wtórowało westchnieniu, wówczas spojrzenia zebranych krzyżowały się na odrzwiach, niby wymawiając im, że już się zawarły za Emilią, lub że się jeszcze nie odemknęły.

Trwało tak przez dni cztery, aż czynność gorączkowa hrabianki ustała nagle, a niepokój jej znów wzrastać zaczął. Od Cezarego znaku życia nie było i znikąd znaku życia. Przygotowania dobiegały kresu, zniecierpliwienie nurtowało puszczę subocką, z Jeziorosów nadeszły ostrzeżenia, że asesor tamtejszy do Brosławia wyjechał z papierami, odebranemi na stacyi pocztowej nieznanemu człekowi, który je wiózł dla pana marszałka Podbipięty, do Dzisny. W Imbrodach komisya wojskowa zjechała na pobór rekruta i rekwirowanie podwód. W Dowgielach pluton huzarów gotował się do wyciągnięcia z całym tabunem co najprzedniejszych koni. Do Urpola sapieżyńskiego przyszedł rozkaz, aby w ciągu tygodnia odebrać służbie leśnej wszelką broń i do urzędu powiatowego zwieźć.

DCN

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

39

Józio zamruczał coś, jakby przez sen, odwrócił się twarzą do ściany i zachrapał. Soczek dał mu spokój i skwapliwie wrócił do kieliszka, pito już bowiem strzemiennego i żegnano się z Buczkiem; każdy go brał w ramiona, każdy ściskał i każdy z serdecznem wylaniem życzył mu szczęścia na nowej drodze; wielu miało szczere łzy w oczach, Buczek był głęboko wzruszony, a Frania, pod wpływem ogólnego rozczulenia, wybuchnęła płaczem i również całowała się ze wszystkimi.

Już mieli wychodzić, gdy Soczkowi strzeliła nadzwyczajna myśl.

— Panowie! — zawołał, wskazując Józia.—Wypijmy za zdrowie tej sieroty, wypijmy!

Zabrzękły kieliszki, otoczyli śpiącego, a Dzięcioł zagrzmiał ostatnim toastem:

„Za zdrowie tej opuszczonej sieroty, naszego kasyera!
Niech ciągle chrapie, a nigdy nie umiera".

Wytoczyli się ze śmiechem, po chwili zaturkotały wózki, a dom ogarnęła cisza.

Maciuś powysączał resztki z kieliszków, pogasił światła i poszedł spać.

Świeciło się jeszcze w sypialnym, ale drzwi były otwarte na rozcież, i smuga światła sięgała do otomany, na której leżał Józio, że słyszał każde słowo i widział najmniejsze poruszenie. Frania zakręcała sobie włosy papierkami, a Mikado rzucił krawat wraz z kołnierzykiem gdzieś w kąt, pugilares wsunął pod poduszkę i, śpiesznie zdjąwszy ubranie, położył się do łóżka.

— Jutro będę już spał w pociągu—zawołał radośnie.—Ale biba się udała, co?

— Napili się i nakrzyczeli za wszystkie czasy, ale tylko Józio urżnął się na fest.

— Bo ciągnął za czterech! Hrabiczowi się zdaje Bóg wie co, a główkę ma słabą, jak panna.— Ziewnął przeciągle. — Moja droga, daj mu co pod głowę i przykryj go, bo tam od wczoraj rana nie palone. Jeszcze się przeziębi.

Józio przymknął oczy i zaczął równo i głęboko oddychać, gdy mu Frania podkładała poduszkę; przykryła go jakimś kożuchem i, pogłaskawszy pieszczotliwie po twarzy, wyszła, zamykając drzwi za sobą.

— Nie zamykaj! Będzie nam za duszno! Kładź się prędzej. Strasznie chce mi się spać.

Lampa zgasła i zegar wybił trzecią.

— Możemy sobie używać chociażby do południa—szepnął sennie Buczek.

Cisza ogarnęła cały dom. Pokój, w którym leżał Józio, z powodu przysłonionych okien był ciemny, jak grób, tylko w sypialnym mżyły się słabe odbrzaski, noc zaglądała przez szyby i deszcz zacinał z sypkiem, usypiającem brzęczeniem, rynny bełkotały nieustannie, czasami zahuczał wiatr i szamotał się z drzewami.

Józio leżał pogrążony w rozmyślaniach i naraz rzekł bezwiednie a prawie głośno:

— O dziewiątej byłbym już na granicy...

Wystraszył się własnym głosem i zaczął nasłuchiwać z niepokojem.

Cicho było w sąsiednim pokoju—musieli już zasnąć; tylko gdzieś za piecem strzykał świerszcz.

Jakiś pociąg przeleciał, jak grom, aż się wszystko zatrzęsło.

— Pewnie jaka ekstra!—pomyślał, wysuwając się z pod kożucha który go parzył, jak ogień.

Usiadł na otomanie i cały zamienił się w słuch.

Spali jakoś niespokojnie, Frania mówiła coś przez sen, a Buczek wciąż się przewracał, aż trzeszczało łóżko, ale usłyszał zarazem gwałtowne bicie swojego serca.

Psy zaszczekały w ogrodzie i napływało dalekie jeszcze dudnienie nadbiegającego pociągu.

Podniósł się bardzo ostrożnie, ale, mimo to, podłoga tak zaskrzypiała, że skamieniał na długą chwilę i z zapartym tchem patrzał w otwarte drzwi.

Spali—słyszał ich przerywane, gorączkowe oddechy i monotonny szelest zegarowego wahadła.

Przemógł się wreszcie i poruszył się z miejsca tak nieszczęśliwie, że potrącił jakieś krzesło, które się z hukiem przewróciło. Jakby mu sufit zleciał na głowę—przerażenie zapchało mu gardło oniemiałym krzykiem; nie śmiał odetchnąć, ni się poruszyć. Długie, jak wieczność, chwile przelewały mu się przez mózg zgiełkliwym warem, chwiał się, jak podcięte drzewo, i prawie tracił przytomność.

Ale nikt się nie przebudził, a nawet Buczek dosyć głośno zachrapał.

Odetchnął z niezmierną ulgą po tem straszliwem wzruszeniu i, przetarłszy oczy zalane potem, zaczął się zwolna posuwać ku drzwiom otwartym, ostrożnie macając dokoła wyciągniętemi rękoma. Musiał jednak bardzo często odpoczywać, gdyż chwilami brakowało mu już sił, jakby tak szedł od wieków.

Zegar jął wybijać jakąś godzinę, ale nie mógł zrozumieć którą—bo słyszał tylko rozpierzchające się, długie i ostre dźwięki...

Posuwał się nieprzerwanie, a wciąż mu się zdawało, że do drzwi jeszcze ma tak daleko, jakby na krańce nieprzejrzanej pustyni. Był już przytem tak zgorączkowany, że zapominał, gdzie jest, a chwilami każdy szelest stawał mu się przerażającym hukiem, a szum wiatru jakby wyciem huraganów; nawet ciemności przejmowały go niepokojem. Rozglądał się nieprzytomnie. Zdawało mu się, że dokoła czają się jakieś złowrogie oczy, że jakieś groźne cienie idą na niego ze wszystkich stron, zapierają mu drogę i szepczą jakieś niezrozumiałe słowa...

DCN.

Jan Lemański.

Polowanie.

Kogoby tu dziś zabić? — gdy człek przemyśliwa,
Jest to w życia tem szarem godzina szczęśliwa.
Na ramię broń wziął, torbę, gwizdnął na wyżlicę
I idzie albo jedzie strzelać w okolicę.
Nad łąkami cudowny różowieje ranek.
Boże! Leci na wystrzał gromada cyranek.
Pif! Paf! Kilkoro sztuk się tego ptastwa tłucze.
Rozlega się radosne skowyczenie sucze.
Poczciwy piesek! W pysku ofiary przywleka...
Nie, niema przyjemniejszej rozrywki dla człeka!

Polowanie na kozły albo na jelenie
Też należy do uciech przyjemnych szalenie.
Co za rozkosz na stanowisku w krzakach zaledz!
Czatujesz z biciem serca, na cyngiu masz palec.
Wtem chrustnęła racicą zgnieciona gałązka.
Jest... Pif! Paf!.. Trup. Krew cieknie, jak wstążeczka [wązka.
Oczy zwierzęcia gasną i zachodzą bielmem.
Damnyś z siebie, żeś takim Tellem jest Wilhelmem.
Pobożnie słuchasz granej na trąbce przegrywki...
Nie, niemasz przyjemniejszej na świecie rozrywki.

Albo dzik! Kto polował w życiu swem na dzika,
Ten wie, że to jest miła rzecz i niezbyt dzika.
Ponieważ dziki mają kłami groźne ryje,
Więc się za grube drzewo człek z kulturą kryje
I czeka... Gdy trzymają psy go już za uszy,
Pif! Paf! Trup. Cienkim sznurkiem jucha zeń się juszy.
Psy skomlą i narzają języki w posoce...
Słowem jest to rozrywka przyjemna wysoce.
Kochasz ten bór, te łąki, te pola, te niwy
I czujesz, żeś jest królem Nemrodem z Niniwy.

Polować na mniejszego zwierza, na zająca,
Również jest to uciecha bardzo wzruszająca.
Ach, pardon! O zającu mówiąc, gdyś rzekł: zając,
Zamiast „kot“, popełniłeś grzech nie przymierzając.
Gdy mówi o zajęczym nie „skoku“, lecz łapie,
Łatwo na profanacyi: profana się złapie.
Kto nie wie, co w zającu zowie się tarzyca,
Tego widać nie tknęła kultury płużyca.
I tego życie nie jest, daję słowo, wartem
Polowania z ogarem, wyżłem albo chartem.

O niewypowiedzianą szczęśliwość zahacza
Polowanie na wrony z udziałem puhacza.
Kopiesz dół, chróstem kryjesz go dla niepoznaki,
Sadzasz uwiązanego tuż puhacza na kij
I w zasadzce tej czekasz pod liści ochroną,
Aż ci zacznie zlatywać wrona się za wroną.
Siedzisz cicho. Do strzału gotowa twa fuzya.
Gdy się wron nazlatuje wielka już profuzya, —
Pif! Paf!.. Jest kilka trupów — widzisz z pod przykrywki...
Nie, niema rozkoszniejszej dla człeka rozrywki.

Miło także jest, kiedy cietrzew gra na toku,
Między tem głupiem ptastwem narobić krwotoku.
Ledwie świt. Oczekuje harem kur wśród lasa.
Cietrzew poczyna wobec nich tan lowelasa:
Roztoczył skrzydła, ogon nastroszył paszyście,
Wobec kochanki ruchów wystawia korzyście, —
I gdy się tak w miłosnym szale zacietrzewi, —
Pif! Paf! Posyłasz porcyę śrótu mu do trzewi.
Ogłupiałe rozkoszą stado nie ucieka...
Pif! Paf! — znowu... Nie, niema milszej gry dla człeka.

Strzelaniem do gołębi — *tir'em au pigeon'em*
Zabawiać się — jest także szczęściem wymarzonem,
Jeżeli oczywiście strzelasz bez fuszerek.
Przedstaw sobie zamkniętych z ptastwem klatek szereg.
Gołąb wyfrawa z jednej, w której nie wie po co
Zamknięto go. Skrzydełka w wietrze mu trzepocą.
Myśli, że jest już wolny, człowiekowi ufa,
Nagle: Pif! Paf!.. Posyła śmierć mu twoja lufa.
Zdaje ci się, żeś prym wziął nad Wilhelmem Tellem:
Jemu jabłko, a tobie żywy cel jest celem.

Podobno nie polował, gdy żył w raju, Adam.
Lecz za tym czasem ni wy, ni ja nie przepadam.
Jakto? Żyć i morderstwa nie mieć przywileju?
Nie, nie! Na to potrzeba człeka bez oleju.
Więc patrzeć, jak przy tobie tuż młodziutka łania,
I nie czuć myśliwskiego ku niej powołania?
Albo znosić, by śmiał zwierz lądz się, płodzić, cielić,
I za to go nie więzić, nie tłuc, nie zastrzelić?
Nie. Być może to rajem, ale my, Nemrody,
Wolimy byt zgodniejszy z prawami przyrody.

A te są: Kiedy widzisz na wolności ptaszę,
Za broń! Pif! Paf! Zabijaj i pakuj w jagdtasze!
Rajem niech sobie żyją mazgaje i beksy.
Ausrotten! — niech wasze każą wam kodeksy.
Widząc, że gdzie samica dziko chowa dziecię,
Tropić ją, szczuć, zabijać i jeść ją będziecie!
Gdy pozwolić zwierzęciu żyć tak, jak chce który,
Wkrótceby nie zostało miejsca dla kultury.
Pamiętaj, iż jest ogień prometejskim darem...
Ognia! Pif! Paf! — niech będzie twoich dni sztandarem.

O Boże! Dziękuję Ci za wszystko wogóle,
Lecz zwłaszcza, żeś wynalazł proch, śrót oraz kule;
Żeś odkrył z szmelcowanych dwóch luf dubeltówki
I żeś mi na nabycie ich dość dał gotówki;
Że mogę sobie chodzić pod niebem niebieskiem
I polować samotnie, z naganką lub pieskiem;
Żeś mi dał pełne ptastwa moczary i łąki;
Że mogę strzelać sobie kaczki, tudzież bąki.
Zaiste, w życiu ludzkiem chwila to szczęśliwa,
Gdy: kogoby tu zabić? w duszy przemyśliwa!

W. Kosiakiewicz.

PAN SĘDZIA POLUJE.

— Ha! ha! tom się wylizał. No, mogę sobie powiedzieć, żem już zdrów. Czuję, jak mi sił przybywa. Alem też leżał... ba! Dziś dwudziesty października, a więc dwa miesiące prawie. Ha! ha! Kostusiu, niepotrzebnie się śpieszyłaś. Zapalenie płuc! wielka rzecz! to furda dla mnie... Zwyciężyły moje siły, zakonserwowane w kawalerskiem życiu. Gdybym się był ożenił, a broń Boże, miał dzieci... kto wie, czybym już kopytami nie trzasnął... Bo to żona łeb suszy, bachory kłopoty, jak kliny, w mózg wbijają. Alem ja się uchronił od tego, no, i wyszło mi to na dobre. A czułem, dalibóg, jak się we mnie ważyło, czułem... to na tę, to na ową stronę, i w końcu chorobę dyabli wzięli. Prawda, że doktór pilnie mnie odwiedzał. Nie rozumiem tylko, dlaczego ten osioł powiatowy uśmiecha się tak do mnie i ściska za rękę, aż stawy trzeszczą? „Jesteś ocalony, sędzio. Ocaliliśmy cię!“ Daje mi do zrozumienia, że należy mu się wdzięczność. Egoista! wdzięczność?! Naprzód, obowiązkiem jego moralnym było wyleczyć mnie, a potem... dostał przecież honoraryum, po trzy ruble za wizytę i moja furmanka. Jak będzie mi się jeszcze do wdzięczności mizdrzył, to, dalibóg, że mu głupstwo powiem. Da Bozia, za tydzień będę mógł sędziowski mój łańcuch włożyć. Co tam musiało się pracy nawalić przez ten czas! bo to te chamy, jak dzikie zwierzęta, pożeraliby się wzajemnie... No, wezmę się do tego energicznie i dopóki nie zepchnę zaległości, dwa razy na tydzień będę urządzał posiedzenia. Jak człek sobie tak długo wypoczął, to mu też pilno do akt i kodeksu. Oh! i słonko się pokazało... śliczny być musi na świecie dzionek. Ostatnich dni było mokro trochę i pochmurno, brr... Marcinowa! hej tam! otwórzcie-no okno... Co? już wy się nic nie bójcie! Czuję się zdrów, jak ryba.

I pan sędzia, wyżółkły i zasuszony stary kawaler, w grubym watowanym szlafroku, zbliżył się do okna; nagle jednak zachwiał się na nogach, i zaledwie oparcie się całem ciałem o framugę uchroniło go od upadku.

Fala powietrza jasnego i czystego, niosąca silne zapachy jesiennych traw i kwiatów, uderzyła przez okno na pokój, w atmosferę zepsutą długiem zamknięciem, gdzie czuć jeszcze wyziewy gorączki i lekarstw. Pan sędzia, odurzony tą falą ze świata, doznał zawrotu głowy. Trwało to chwil parę, poczem wróciła równowaga.

Tam, z za okna, uśmiechało się do niego życie, to życie, które ocalił tylko co, a które roztoczyło nagle tyle powabów i uroków, woni i blasków, że wychylił się za okno, zadziwiony i upojony, i otworzył usta, ażeby wciągnąć jak najwięcej tego powietrza świeżego, które rozszerzało mu piersi.

— Ho! ho! jak się to zmieniło na świecie! Anibym pomyślał. I to przez dwa miesiące. Jak ładnie, jak ładnie! fiu, fiu! jak ładnie... No, i pomyśleć tu, że nigdybym już tego nie zobaczył, gdyby tak Kostusia... Hej! Marcinowa! moja najmilsza, daj-no mi, koteczko, krzesełeczko; siądę sobie tu przy okieneczku. Jak ładnie, jak ładnie! co, Marcinowo?! Nie, nie usiedzę. Marcinowo! mój garnitur szary, tylko prędko. No, no, nie gderać! wiem, co robię .. Doktór już od tygodnia pozwolił mi wychodzić. Spodnie daj zimowe i ten szary paltot krótki, watowany. którego do polowania używam. Ha! ha! pyszna myśl... przejdę się trochę, to mi sił doda jeszcze i trzepnę gdzie zajączyka... będzie na niedzielę pieczyste. Czuję, że go trzepnę; koty teraz są w polu, ani chybił. Ho! ho! alem ścieniał porządnie; surdut ledwo się dopinał, a teraz?... Nadgryzła mnie ta choroba trochę, nadgryzła, alem się zgryźć nie dał... Nie zawadzi wziąć szalik na szyję... dzień boski, to prawda, ale ostrożność to pierwszy obowiązek porządnego człowieka. Kochana odtylcówka! Jak się masz? Wisiałaś, biedaczko, na ścianie całe dwa miesiące, jak niemowa. He! he! siły już mam, dubeltówkę jak nic podniosę jedną ręką za koniec, o!... Jazda na plecy, moja mała! utłuczemy dziś kota, a może i co z ptastwa się trafi. No, i jestem już za progiem... Boże drogi! jakże pięknym ten świat stworzyłeś! Jak miło żyć, a! jak miło!

Słońce świeciło na niebie pogodnem, błękitnem, niepobielonem najmniejszą chmurką. Złote jego promienie przeniknęły powietrze ciepłe i świeże, złociły się na korze drzew owocowych, na skórkach dojrzewających jabłek, kwitły niby masa gęsto posiana złotych kwiatków na świeżo zoranych polach. Pan sędzia niepewnym jeszcze krokiem przeszedł przez ogródek, gdzie gęsto kwitły różnobarwne astry; za furtką chód jego stał się już pewniejszym; gdy zaś udał się miedzą, pomiędzy zawleczonemi skibami ozimego żyta a łanem kartofli, na którym usychać już zaczęły zielone łodygi, odzyskał chód dawny, pewny i śmiały. Robił duże kroki nogami wysokiemi i chudemi, wodząc wokoło wzrokiem zadziwionym nieco, jak gdyby po raz pierwszy widział te łany ziemi, porysowanej w równoległe linie ostrzami bron, i ten lasek, niby płot żywy, ciągnący się nad polami, tam, niedaleko. Jak ładna ta zieleń, jeszcze trzymająca się w całej sile barwy! Jeżeli dokuczy ci słońce, to w cieniu rzeźwym i chłodnym tej zieleni znajdziesz miły wypoczynek. Tyle piękna na tej ziemi! Jak miło żyć na świecie! jak miło, panie sędzio!...

— Ale co to tam się rusza pod lasem?... bo rusza się coś... Ehe! to krówki, dwie krówki pasą się na rżysku. Teraz już widać je wyraźnie. Jedna czarna z białą plamą na łbie; pewnie nazywają ją łysatą. A druga cała w centki niewyraźne. I chodzą sobie krówczki na słońcu, używając ciepełka i szczypiąc trawki. Mój Boże! jaki to miły obrazek te krówki pod lasem. I może jeszcze jedna krówka jest matką drugiej. Ehe! fujarka! dalibóg, fujarka. Pewnie pastuszek jaki, pacholę jasnowłose, siedzi pod krzakiem i wygrywa to, co czuje, co mu podpowiadają ptaszki leśne i polne. Dadana, danada! ktoby tego nie znał... O! dziewczę jakieś wtóruje mu głosem silnym i zdrowym, który zagłusza fujarkę smętną i cichą. Dadana, danada! to samo! Wszystko się cieszy z życia. O! i ja się cieszę. Dadana, danada! Kostusiu! Ehę! figę z makiem! Dadana, danada! Dalibóg! chce mi się śpiewać! Coś podobnego mi się jeszcze nie zdarzyło. Dadana, danada! Pst! panie sędzio... Nie wypada śpiewać w polu człowiekowi statecznemu i na tak poważnem stanowisku. Jeżeli już co, to chyba... gwizdaj sobie. Racya! Będę sobie gwizdać. Fiu! fiu! fiu!... Jak miło żyć! jak miło!

Szedł pan sędzia i gwizdał. Szedł na wysokich i cienkich nogach, z szyją, okręconą wełnianym szalikiem, z dubeltówką nabitą, przewieszoną przez plecy. A gdy wszedł na ścieżkę leśną, zaszumiały wierzchołki, jakby drzewa jedne drugim szeptem podawały wiadomość ważną i radosną:

— Pan sędzia zdrów! pan sędzia idzie!

Potem chwila ciszy, potem jedna zwrotka pieśni pastuszej, zalatująca aż tu, potem znowu nowe szepty drzew:

— Pan sędzia idzie! pan sędzia idzie!

Aż tu nagle dziub! dziub! dziub! ostrym dziobem w robaczywy pień sosny. To dzięcioł! Nie widać go za zielonemi igiełkami, ale on dojrzał pana sędziego i wita:

— Dziub! dziub! dziub! jak się masz, panie sędzio!

— Zdrów jestem! i ot sobie z fuzyjką na polowańko wyszedłem, aby zajączyka trzepnąć, jak za najlepszych czasów. Kostusi, co mi do pokoju zajrzała, prztyka w nos dałem i uciekła.

Dalej przed oczyma pana sędziego przewinęła z gałęzi na gałąź, dążąc w górę, okryta rudem futrem wiewiórka.

— Orzeszki, orzeszki dobrodziejka zbiera. A śpieszże się, zwierzątko kochane, bo zima za pasem... To ostatnie dni takie ładne. Zimna się nie boisz, bo ci Pan Bóg dał ciepłe futerko, ale o żołądeczku to sama musisz myśleć, robasiu kochany. Zbierajże, by ci głód nie dokuczył, zbieraj.

Dalej przeciągnął gołąb leśny, grzewacz, kiwnąwszy w stronę pana sędziego skrzydłem na powitanie. Doszedł pan sędzia do jeziorka małego, deszczami tylko zasilanego, z wodą brudną i czarną, nad którą prowadziły dwie zwalone kłody sosny, nakryte chróstem. Nad wodą goniły się muszki małe, niewidzialne w cieniu drzew, dostrzegalne na sekundę, niby atomy świetlane, gdy przebiegły przez promień słońca; uderzały skrzydełkami o wodę i wtedy na powierzchni tworzyły się krążki, niby pierścienie, rozszerzające się aż do zniknięcia. W wodzie od-

bijały się szczyty sosen, otaczających jeziorko. Pan sędzia, przechodząc przez kłody, zatrzymał się i przejrzał w tem lustrze, którego używały dotąd tylko igiełki sosen. Oto on! on sam! Pan sędzia. Widzi kawałek lufy, wystający z za pleców (bo trzepnąć ma zajączyka), szalik wełniany, pod którym zwiesza się głowa z twarzą, wyraźnie zmizerowaną i wychudłą.

I w tej chwili wierzchołki sosen poruszyły się razem wszystkie wokoło twarzy, odbitej w jeziorku, jak gdyby kiwały ze współczuciem głowami.

— Chory byłeś, panie sędzio?! chory byłeś?

Pan sędzia kiwnął głową.

— A chory byłem. Miałem zapalenie płuc... Leżałem dwa miesiące w łóżku, otoczony lekarstwami. Doglądała mnie poczciwa Marcinowa, której muszę coś za to w testamencie zapisać, i ten poczciwy i kochany eskulap powiatowy. Bodaj mu nigdy nie zabrakło pacyentów. Oni to ocalili mnie, oni...

Skończył się wreszcie las niewielki i zaczęły się znowu pola, roztoczone szerokim i długim, kilkuwiorstowym płatem, którego brzegi niewyraźnie zlewały się z firmamentem, ciemniejącym w miarę zbliżania się do ziemi. Pola były porznięte wązkiemi chłopskiemi zagonami, ubrane zrzadka gruszami, siedzącemi na miedzach. Tam w dali wpoprzek pól biegła linia gruba, zygzakowata—to wieś... Widać czereśnie w sadach chłopskich, widać dachy poczerniałe słomiane, nasadzone, niby czapka zimowa aż do oczu. Słońce, dobrze już na bok przechylone, oświeca bielone kominy, które zdaleka, jak srebrne, błyszczą. To cicha i pracowita wioska polska, gdzie ludek w długie dni powszednie potem czoła obrabia te wązkie zagony, a w niedzielę zdąża do tego kościołka małego drewnianego, ukrytego w lipach. I żyją tu poczciwi ludziska i cieszą się z życia, ile razy po troskach przyjdą radości, a zaś po pracowitem lecie zasobna jesień, przepełniona weselami. Miałeś i ty chwile ciężkie, panie sędzio, oj, miałeś! Ale teraz zbierasz żniwo radości.

— Poczciwi kmiotkowie, poczciwi!—szepce pan sędzia i w duszy robi mu się tak rzewnie i miło, iż żałuje przez chwilę, że jest sędzią i tych poczciwych kmiotków na kozę nieraz skazywać musi.

Po chwili rzewność mija .. pan sędzia zasłania oczy, bo bielone wiejskie kominy błyszczą bardzo silnie— i myśli powrócić do domu.

— Jutro sobie znowu zrobię podobną przechadzkę i pojutrze także.

I na tę myśl tyle radości młodej, dziecinnej, wstępuje w pana sędziego, że długa jego figura kurczy się nieco, jedna noga podnosi się wyżej, niż zwykle, a druga w kolanie zgina .. Co to? Pan sędzia chce podskoczyć, o! podskoczy. Jeszcze sekunda, a podskoczy. Ale oto z lasu wychodzi dziewczyna jakaś. Pan sędzia się prostuje i sztywno stawia, jak zwykle, długie swoje nogi. Podskakiwać? cóż znowu! Taki człowiek, jak pan sędzia, nie podskakuje.

Słońce już czerwienieje. Pan sędzia wraca do domu. Zawrócił swoje kroki i idzie do lasu na długich i cienkich nogach, z wełnianym szalikiem, okręconym wokoło szyi, z dubeltówką nabitą, przewieszoną przez plecy. Aż tu po zagonach biegnie zając, kica sobie powoli: kic! kic! kic! wprost na pana sędziego. Uszy położył na sobie i podrzuca całe ciało tylnemi skokami. Ten może sobie podskoczyć bez ujmy dla swojego stanowiska. Aż tu nagle stanął słupka, uszy w górę postawił i ślepki uparł w pana sędziego...

— Jaki chudy pan sędzia! jaki chudy! o jej!

— A chudy, mój zajączku, chudy, zwierzątko moje. Miałem zapalenie płuc, Kostusia już mnie za nogę trzymała, oj, trzymała szelma! Alem ją kopnął dobrze i poszła. Nieprędko chyba wróci, bo czuję, jakby mi nie duszę, ale dwadzieścia już przeżytych lat odjęła. Ucznia na wakacyach bym przegonił.

— To dobrze—ruszył wąsami zajączyk—i kic, kic dalej, aż znikł w krzakach.

Słońce świeci już, jak okrągła czerwona plama, tuż przy ziemi; pan sędzia dochodzi do lasu i spotyka dziewczynę z pękiem kwiatów jesiennych.

— A co to?—pyta—a gdzieżeś je uzbierała?

— A na łące i w polu.

— Ładne,—a pachną? pachną, hm! hm! pachną prześlicznie. Daj-no mi je, dzieweczko. Masz tu złot... masz czterdziestówkę. Nie dziękuj... nie potrzeba.

I powracał pan sędzia do domu na długich i cienkich nogach, z wełnianym szalikiem wokoło szyi, z dubeltówką nabitą, przewieszoną przez plecy.

Powracał z polowania przez las, ciemniejący w zmroku, z bukietem polnych jesiennych kwiatów w ręku, których wonią napawał się co chwila.

Robert Hichens. Przekład z angielskiego.

OGRÓD ALLAHA.

43

XIX.

Arabskie przysłowie głosi: „W pustyni zapomina się o wszystkiem; nikt już o niczem nie pamięta".

Dla Domini zdawało się to chwilami prawdą najprawdziwszą i najpiękniejszem orzeczeniem Wschodu. Trzy tygodnie upłynęło dopiero od ich pierwszego postoju w Arbie, i już życie jej w Beni-Morze zatarło się w pamięci, jak sen odległej przeszłości. Powierzywszy się pustkowiom rozległym, podróżując bez celu stałego od oazy do oazy poprzez puste obszary, w wiecznym blasku słonecznym skąpane, obozując często pośrodku piasków u której ze studzien, wydrążonych dla nomadów przez inżynierów francuskich, bez przerwy umacniani, bez przerwy pieszczeni powiewami, które były łagodne i rzeźkie, jakby ze złączenia jedwabiu i śniegu, żyli prawdziwie, jak we śnie pustynnym — i sen tylko mieli za sobą. Pędzili żywot prawdziwie koczowniczy — z namiotem ruchomym miast domu, z piaskiem zółtym miast gruntu i ogniska, z wolnością, która była im Bogiem.

Zatrzymali się na spoczynek południowy w miejscowości, która się zwała Sidi-Hamdan, i po południu mieli jechać dalej do Bordj, zwanej Mogar'em, gdzie zamierzali pozostać dwa lub trzy dni, jako że Batucz zapewniał, że miejsce to dobre dla postoju i w pobliżu od zbiorowiska gazel. Namioty pojechały już naprzód, i Domini wraz z Androwskim leżeli na kobiercu, rozpostartym na piasku, w cieniu szarego muru domu podróżniczego, w pobliżu studni. Z tyłu konie ich były uwiązane do żelaznych pierścieni w murze. Batucz i Ali byli na podwórzu domu, gwarząc ze strażnikiem arabskim, który tu mieszkał, głosów ich atoli nie było słychać z za muru, i cisza zupełna gościła, owa natężona i zarazem lekka cisza południa w pustyni, gdy słońce jest u zenitu, gdy nomada śpi pod nizko rozbitym namiotem, i ogrodnicy nawet w oazach przestają udawać, że pracują śród drzew palmowych.

Nie było nigdzie śladu ludzkiego. Nie widać było wielbłądów. Nie słychać było szczekania psów. Południe trzymało świat w swem złotem ujęciu.

— Borys!—rzekła Domini, przerywając długą ciszę.

— Co, Domini?

Obrócił się ku niej na kobiercu, wyciągając leniwie swe długie, smagłe ciało, jak gdyby w najwyższem zadowoleniu fizycznem.

— Czy znasz to powiedzenie arabskie o zupełnem zapomnieniu wszystkiego w pustyni?

— Tak jest, Domini, znam je.

— Jak długo będziemy jeszcze pozostawali w tym świecie zapomnienia?

Uniósł się szybko na łokciu i utkwił w nią oczy.

— Jak długo?

— Tak jest.

— Czyż... czy chciałabyś porzucić je? Jesteś niem zmęczona?

W głosie jego była nuta ostrego niepokoju.

— Nie odpowiadam na takie zapytania—rzekła, uśmiechając się do niego.

— Dlaczego tedy starasz się mnie zatrwożyć?

Złożyła swą rękę w jego ręce.

— Jakżeś ty opalony! — rzekła. — Wyglądasz prawdziwie, jak arab z Południa.

— Pozwól, niech się jeszcze bardziej opalę. Tu zdrowie.

— I pokój, pokój doskonały.

Nic nie rzekł. Patrzał teraz w dół na piasek.

Złożyła wargi na jego ciepłej ręce bronzowej.

— Tu jest wszystko, czego pragnę—dodała.

— Tedy zostańmy tu.

— Tak! ale przecie kiedyś będziemy musieli powrócić?

— Dlaczego?

— Czyż może co trwać wiecznie w życiu?.. nawet nasz miesiąc miodowy?

— Przypuść, iż wybieramy, żeby tak było.

— Czyż można rzecz taką wybierać? Czy można całe życie być szczęśliwym, nie pełniąc obowiązku? Chwilami zapytuję siebie. Tak kocham to życie wędrownicze, tak jestem w niem szczęśliwą, iż myślę chwilami, że nie może ono tak trwać dłużej.

Począł szybko przesiewać piasek przez swe palce.

— Obowiązek?—rzekł cicho.

— Tak jest. Czyż nie winniśmy pełnić czego—poza sprawą naszego osobistego szczęścia?

— Co przez to rozumiesz, Domini?

— Czy ja wiem? Ty mnie to powiedz.

W głosie jej był dźwięk naglący, jak gdyby pragnęła, a nawet domagała się czegoś od niego.

— Wszak wiesz—rzekł,—że ja ciężko pracowałam dotychczas w życiu, ciężko, jak wyrobnik.

— Tak jest, wiem o tem—rzekła. — Zanim się pobraliśmy, dnia tego, kiedy siedzieliśmy w ogrodzie, opowiadałeś mi swoje życie i ja ci opowiadałam swoje. Jak różnemi były one!

— Tak jest—powiedział.

Zapalił papierosa i patrzał na dymek, kłębiący się w złocie blasków słonecznej atmosfery.

— Moje w środowisku świata i twoje... tak daleko od niego. Często widzę w myśli tę małą mieścinę, El Kreir, ogród, matkę twoję, brata twego bliźniaczego, Konstantego, jednookiego araba służącego... jak to on się nazywał?

— El Maki.

— Tak jest, El-Maki, który uczył ciebie grać w korę, śpiewać pieśni arabskie i jeść ku-ku palcami. Niemal że widzę księdza André, który cię uczył klasyków i który ci mówił o filozofii. On także umarł, jak twoja matka, nieprawdaż?

— Nie wiem zgoła, czy umarł ksiądz André, czy żyje. Straciłem go z oczu—odrzekł Androwski.

Wciąż patrzał uporczywie na dymek, kłębiący się w złotem powietrzu.

— Czy sądzisz, że ja nie pamiętam tego, iż ty pracowałeś ciężko? — rzekła po chwili.— Mówiłeś mi, że sam zawsze uprawiałeś ziemię, nawet gdy byłeś jeszcze chłopcem, że kierowałeś robotnikami hiszpańskimi w winnicy, że wreszcie... zasłużyłeś na długie wakacye. Lecz czyż trud ma być już na zawsze rzucony?

— Masz tedy racyę. Dobrze. Weźmy oazę. Uprawiajmy ogrody, jak francuzi w Meskutinie.

— I pobudujmy sobie siedzibę afrykańską, białą, z płaskim dachem.

— I sprzedawajmy daktyle. Damy zajęcie arabom. Wybierzemy co najbiedniejszych. Umoralnimy ich życie. I wtedy... jeżeli będziemy co komu zawdzięczali, to tylko im, tylko pustyni. Spłaćmy naszą powinność pustyni i mieszkajmy w pustyni.

— Byłoby to życie wymarzone—rzekła z oczyma błyszczącemi, patrząc w jego oczy.

— I życie możebne. Urządźmy je tedy. Ja nie zniosę tego, byśmy porzucili pustynię. Dokąd my pójdziemy?

— Dokąd my pójdziemy?—powtórzyła.

Wciąż patrzała na niego, lecz teraz wyraz jej oczu odmienił się całkiem. Stały się one poważne i badały go seryo, z rodzajem głębokiego wnikania.

— Dlaczego patrzysz tak na mnie, Domini?—zapytał z nagłem drgnieniem czegoś, co było jak zakłopotanie.

— Ja? Pytałam się, cobyś wolał robić, jakie inne życie przypadłoby ci do usposobienia.

— I co? — zapytał szybko.— I co?

— To dziwne. Nie mogę ciebie z niczem połączyć, prócz z pustynią; nie mogę cię widzieć nigdzie, prócz w pustyni. Nie mogę cię nawet wyobrazić pośród winnic tuniskich.

Patrzała wciąż na niego z tem samem głębokiem i całkiem nieświadomem wnikaniem.

— Zaś co do Londynu, Paryża...

Naraz wybuchnęła krótkim śmiechem, i powaga jej prysła.

— Mniemam, że nienawidzisz tych miast—rzekła.—A one... one nie pokochają cię, bowiem nie będą cię rozumiały.

— Kupmy sobie oazę — rzekł porywczo.—Pobudujmy sobie dom afrykański, sprzedawajmy daktyle i zostańmy w pustyni. Słyszę głos Batucza. Czas już snadź jechać do Mogaru. Batucz! Batucz!

Batucz wyszedł z podwórza domu, obcierając resztki ku-ku ze swych lubieżnych warg.

— Odwiąż konie — rzekł Androwski.

— Ale, proszę pana, za gorąco jeszcze na jazdę. O, proszę patrzeć! nikt się jeszcze nie rusza. Cała osada śpi jeszcze.

Zatoczył łuk olbrzymiemi rękoma, z paznokciami, ubarwionemi henną, ku odległemu grodowi, odlanemu jakby z jednej sztuki bronzu.

— Odwiąż konie. W pobliżu Mogaru są gazele. Czyż nie mówiłeś mi?

— Tak jest, proszę pana. Ale...

— Wyjedziemy stąd wcześniej i pod zachód słońca pójdziemy na nie. Nuże, Domini!

Odjechali w palącym żarze południa ku południo-zachodowi poprzez obszary szarego piasku. Za nimi w niewielkiej odległości ciągnęli: Batucz i Ali.

Około czwartej po południu przybyli na teren Mogaru.

Kiedy wjechali wolno, bowiem konie ich były zmęczone, od znoju spienione po długiem kłusowaniu poprzez piaski, i Domini, i Androwskiego uderzyła niezwykłość tego miejsca postoju, niepodobnego zgoła do żadnego, jakie dotychczas widzieli. Grunt wznosił się tu łagodnie, lecz stale, od dłuższego już czasu, zanim jeszcze ujrzeli w odległości rozbite namioty z czarnemi kształtami wielbłądów i mułów. Byli tu poza piaskami, na twardym jałowym gruncie, pokrytym drobnemi kamieniami, zaścielającemi ziemię. Poza namiotami nie było nic widać prócz nieba, które teraz było pokryte drobnemi, szaremi na skrajach chmurami, smutnemi i jesiennemi, i baszty samotnej, pobudowanej z kamienia, która wyrastała z obszaru, ciągnąc się prawie na dwieście yardów od namiotów ku wschodowi. Chociaż mogli widzieć tylko tak niewiele, to jednak doznali przemocnego wrażenia, iż są tu na skraju jakiejś wizyi przestronnej, jakiegoś olbrzymiego zjawu

przyrody, który miał dać im nowe i zdumiewające poznanie pustyni. Być może, widok tej baszty odległej, sterczącej śród chmur szarych, wzbudził w nich to czucie prawie niespokojne oczekiwania.

— To całkiem, jaz wieża strażnicza,—rzekła Domini, wskazując batem. — Ale jak tu można żyć, w takiem miejscu, zdala od oazy?

— I nic tu stąd nie widać dodoła — rzekł Androwski.—To jest najniższy horyzont, jaki widzieliśmy, odkąd jesteśmy w pustyni.

— Tak jest, lecz...

Spojrzała na niego, gdy puścili konie lekkiego kłusa. A potem dodała:

— Ty także czujesz, żeśmy tu wjechali w coś wstrząsającego... Czyż nieprawda?

Koń jej zarżał przenikliwie. Domini poklepała go po szyi spienionej.

Kopyta ich koni oddawały twardym dźwiękiem na gruncie kamienistym.

— Niegościnne to miejsce — rzekł Androwski.

Domini spojrzała na niego niespodzianie.

— Nie przypominam sobie, byś miał dotychczas odrazę do jakiego miejsca w postoju—rzekła.—Co to znaczy, Borysie?

Uśmiechnął się ku niej, lecz prawie bezpośrednio za tem twarz jego omroczyła się cieniem, który zdał się odpowiadać zmroczeniu nieba. I znowu utkwił wzrok w basztę.

— Lubię tylko dalekie horyzonty—odrzekł.—A tu niemasz dziś słońca.

— Sądzę, że nawet w pustyni nie będziemy go mieli zawsze— rzekła, a w głosie jej też było tknienie smętku, jakby go wraz przejęła od niego.

Po chwili dodała:

— Mam zupełne wrażenie, jakgdybym była na wierzchołku skały i miała patrzeć na morze dokoła.

Z chwilą, jak dopowiadała te słowa, wjechali kłusem w środowisko obozu ich służby i osadzili konie na skraju spadzistym, który był prawie przepastnym. A potem siedzieli w siodłach, patrzący.

Od tygodni żyli pośrodku rozłogu i przyzwyczaili się do widoku rozległych szlaków dokoła, ginących w dali błękitnej; ten atoli widok z Mogaru zapierał im dech w piersiach i wzbudzał w nich tętno.

Był on przeolbrzymi. W tym zjawie niezmierzonym było nawet coś nienaturalnego, jak gdyby to było tylko ułudą i mogło istnieć tylko w ich widzeniu. Domini miała wrażenie, że żadne oczy ludzkie nie mogły istotnie widzieć takich nieskończonych szlaków krainy i wody, jak te, które — zdało jej się, że widzi w tej chwili. Bowiem tu, pośrodku pustyni, nie było zgoła wody. Nieskończony wylew morza szedł na spotkanie nieskończonych równin śniegowych. Lub tylko zdawało się tak obojgu. I morze to było szare i spokojne, jak morze zimowe, tchnące żałością w obszarze krainy zimowej. Z morza tego tu i owdzie występowały wysepki, których nizkie skały były koloru głębokiej czerwieni, jak czerwień piaskowców, a który obudzał tragiczność,—wysepki, które wyglądały samotnie, jak gdyby nigdy nie było na nich życia i nie mogło być. Poza śnieżnemi równinami ciągnęły się zwały piaskowe koloru najbledszych pierwiosnków, zwały piaskowe niezliczone, dziesiątki tysięcy zwałów, wznoszących się i opadających, aż póki nie zginęły w szarej dali milczącego świata. Na pierwszym planie, u nóg końskich, od wierzchołka wzgórza szedł szlak szeroki, nikle znaczący się w piasku głębokim i obrzeżony olbrzymiemi zaspami, ukształtowanemi, przez działanie wiatru, w podobieństwa zabawne dziwotworów, lewiatanów, bestyi z dziwacznemi grzbietami, sfinksów, wielorybów.

Z lewej baszta osamotniona panowała nad tą wizyą straszną opuszczenia i zdała się strzedz jej bez przerwy, czatująco, swemi małemi strzelniczemi oczyma.

— Weszliśmy tu w zimę—rzekła mrukliwie Domini.

Rzuciła okiem na biel kości wielbłądzich, rozsypanych tu sucie na piasku, potem na szarość białą nieba, na bladość żółtą zwałów piaszczystych.

— Jak cudnie! jak strasznie!— rzekła. DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury francuskiej.

⚔ *Juliusz Bertaut.* „*La littérature féminine d'aujourdhui*“ („*Dzisiejsza literatura kobieca*“). Nigdy kobiety nie pisały tyle i—trzeba to przyznać—z takiem powodzeniem, co dzisiaj. Książka p. Bertaut, krytyka bystrego, znającego swój przedmiot, przychodzi zatem w porę, dając ogólny pogląd na dorobek, jaki kobiety wniosły do literatury współczesnej. Wspólność temperamentu jest, zdaniem autora książki, jedną z charakterystycznych cech pisarek. „Bez względu na to, czy piszą romanse psychologiczne, obyczajowe czy historyczne, wiersze romantyczne czy dekadenckie, te literatki są przedewszystkiem kobietami. Dziesięciu literatów ma dziesięć temperamentów różnych. Natomiast niema indywidualności różniących się tak mało, jak między literatkami“. I słuszność tego mniemania swojego wykazuje p. Bertaut bardzo umiejętnie, mówiąc nam, jak literatki pojmują kobietę, jak widzą mężczyznę, przyrodę, dziecko, a zwłaszcza miłość.

Z literatury włoskiej.

⚔ *Pietro Giacosa.* „*Il gran cimento*“. („*Wielka próba*“). Są to wzruszające dzieje dwojga zakochanych, z których każde spędza najlepsze lata przy boku innego towarzysza, poczem spotykają się i łączą. Ale nie znajdują już w sobie wzajemnie tego, czego się niegdyś spodziewali—przychodzi rozczarowanie zamiast urzeczywistnienia ideału, i mężczyzna, pod troskliwą opieką zawsze jeszcze, mimo doznanego zawodu, gorąco ukochanej kobiety, dogorywa, ulegając mękom moralnym i fizycznym. Książka odznacza się zwykłemi zaletami Giacosy—wielką prostotą i uczuciem.

Z literatury duńskiej.

⚔ *Jacob Knudsen.* „*Varulven*“ („*Wilkołak*“). Zgubny, złowrogi wpływ radykalnych zapatrywań życiowych na naiwną ludność wiejską usiłuje wykazać autor powieści niniejszej. Dużo w niej głębokiej obserwacyi i subtelnego odczucia duszy ludzkiej; szkoda tylko, że postać demonicznego uwodziciela jest skarykaturowana.

Z literatury szwajcarskiej.

⚔ *Wiktor Hardung.* „*Die Brokatstadt*“ („*Miasto brokateli*“). Tytuł książki zgoła nieodpowiedni, albowiem treść nie ma prawie nic wspólnego z układem społecznym w mieście, gdzie rozgrywają się dzieje Ulryka Wegella i pięknej Pikardy—obojętnem jest zupełnie, czy wyrabiają tam brokatelę, koronki, czy też wstążki jedwabne. Rozwój wewnętrzny i zewnętrzny Wegella, który w „mieście brokateli“ żyje, uprawiając zawód dziennikarski, stanowi treść książki. Wegell stoi między dwoma światami: z jednej strony miasto ze swoim patrycyatem, czerpiącym bogactwa z przemysłu, małomieszczańskim w pojęciach i kulturze; z drugiej — ruchliwy świat aktorów wędrownych, trupy, która, zebrana ze wszystkich stron, zjeżdża na zimę do miasta, a potem znów rozbiega się na cztery wiatry. Ulryk nawiązał z córką jednego z patrycyuszów miejscowych serdeczny stosunek, któremu brak jeszcze tylko sankcyi zewnętrznej; ale przybyła z trupą młoda aktorka podbija jego zmysły. I powtarza się stary temat bohatera między dwiema kobietami. Pisarz szwajcarski umiał go wszakże przeprowadzić subtelnie, indywidualnie; los aktorów prowincyonalnych przedstawiony jest w świetle prawdziwem, budzącem współczucie.

TREŚĆ NUMERU 43-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Polowanie. *Jan Lemański.*
Pan sędzia poluje. *W. Kosiakiewicz.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI: Aleja Jerozolimska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści“: JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza. № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie